



Marianna
Gierszewska

BYĆ TAK NAPRAWDĘ

OD GRZECZNEJ DZIEWCZYNKI DO WOLNEJ
KOBIECY, KTÓRA IDZIE, GDZIE CHCE



Marianna Gierszewska

BYĆ TAK NAPRAWDĘ

**Od grzecznej dziewczynki
do wolnej kobiety, która idzie,
gdzie chce**

Mamie i Tacie. Właściwym nauczycielom.



Nie wiem wszystkiego o kobietach.
Wiem jednak dużo o prawdzie i wolności.
Nimi staram się oddychać.
Nimi staram się dzielić.
Świat pokazał mi, że świetlista boska cząstka istnieje w każdej z nas.
Najczęściej jednak pozostaje ona przykryta tym wszystkim, na co
patrzeć wcale nie chcemy.

Zostawiam tych tysiące słów jako prezent.
Jedna go odrzuci, a druga przyjmie.
Kłaniam się przed kobiecością nisko, bo poznałam jej moc.

I kładąc swoją dłoń na twoim policzku, mówię:
DASZ RADE.
Tyle już przeszedłeś, a tyle wciąż przed tobą.
To piękne życie.
Masz na nie pozwolenie.
Weź więc głęboki wdech –
być może swój pierwszy –
i zobacz, jak można
NAPRAWDE.

Prolog

Kiedy miałam trzy lata, mama, tata, moja siostra Zosia i ja pojechaliśmy latem nad morze. Nie pamiętam, jak wyglądała wynajęta przez nas kwatery, pamiętam natomiast nasze wspólne wyjścia na plażę. Pamiętam awantury spowodowane złą pogodą. Pamiętam parawan, który za nic nie chciał się trzymać piachu. Pamiętam sprzedawaną gorącą kukurydzę. Pamiętam kanapki z żółtym serem i piaskiem. Pamiętam też, że to tata wchodził ze mną codziennie do wody, podczas gdy mama zostawała na ręczniku z siostrą.

Po plaży chodziłam w samych majteczkach kąpielowych i wyglądałam jak chłopiec. O warkoczach mogłam tylko marzyć, bo na mojej głowie był jedynie delikatny rudy „meszek”. Dlatego nikt się nie dziwił, kiedy wchodziłam z tatą do męskiej toalety. O tym, że nie jestem chłopakiem, wiedzieliśmy wtedy tylko on i ja.

Tego popołudnia wszyscy razem siedzieliśmy na plaży. Zaczęło mi się siku, więc poszłam do mamy.

- Kochanie, poproś tatę – odpowiedziała.
- Tato, pójdziesz ze mną siusiu?

Poszliśmy. Od naszej plażowej bazy oddaliliśmy się na nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Z krzaków, w które wysadził mnie tata, wciąż było wyraźnie widać nasze koce, ręczniki i ten

krzywy, nieposłuszny parawan, a także znak rozpoznawczy mojej mamy: wysoko upięty rudy kok, który nazywała palmą. Nasze legowisko widziałam dokładnie, mimo że plaża była naszpikowana podobnymi posłaniami. Rodzice, dzieci, klapki zasypane piaskiem, kremy i olejki przeciwsłoneczne, puste butelki po piwie, kolby zjedzonej już kukurydzy i gdzieś w tym wszystkim moja mama bawiąca się z Zosią.

Tata postawił mnie na piasku i kazał na siebie poczekać. Skoro już i tak staliśmy w krzakach, on też chciał skorzystać.

- Tato, ja widzę mamę. Pobiegnę do niej! – krzyknęłam.
- Kochanie, a pokaż mi paluszkami, gdzie jest mama.
- Tam – wskazałam na nasze plażowe ręczniki.
- To biegnij dokładnie tam, dobrze? Biegnij prościutko do

mamy.

Więc biegłam przez chwilę prościutko do naszego ręcznika, ale z jakiegoś powodu nagle skręciłam. I biegłam dalej, biegłam, biegłam... Wciąż myśląc, że już za moment, już za chwilę zobaczę swoją mamę, mijałam kolejne parawany, kolejne koce, kolejne rodziny... Po jakimś czasie mój bieg zamienił się w szybki, niespokojny krok. Wciąż nieświadomie oddalałam się od naszej bazy, przywołując mamę i tatę.

Słońce zaczęło się zniżać, a ja nadal nie widziałam rodziców. Życie wokół mnie pulsowało: dzieci piszczały, chlapiąc się wodą na płyciźnie, ich rodzice pokrzykiwali, żeby na siebie uważały. A ja? Co teraz? Moje serce zamarło. Byłam sama. Bezradna i roztrzęsiona. Stałam w miejscu, rzuciłam się na piach i zaczęłam płakać. Wyłam tak głośno, że natychmiast pojawiły się przy mnie trzy kobiety.

– Co ci się stało, chłopczyku? Dlaczego płaczesz? Gdzie twoi rodzice? Zgubiłeś się? – pytały.

Było mi wszystko jedno, że mają mnie za chłopca. Byłam wdzięczna za ich obecność i przerażona nią jednocześnie. Tkwiłam pomiędzy ściśniętymi blisko mnie obcymi ciałami, które zakrywały mi niebo. Te kobiety stały nade mną i oczekiwały odpowiedzi, żeby mi pomóc.

– Zgubiłam... tatę... – wyszlochałam.

Kobiety zaczęły mnie głaskać po głowie i pocieszać: „Nie płacz”, „Zaraz na pewno cię ktoś znajdzie”, „Zobacz, jakie piękne fale”. A we mnie wzbierało. Strach zamieniał się w rozpacz. Poczucie bezsilności w mrozący brak nadziei.

– Marianna! – usłyszałam nagle.

Podniosłam głowę i zobaczyłam tatę. Biegł w moim kierunku. Był zasapany, spocony i zapłakany. Otworzył szeroko ręce i padł na kolana. Podniosłam się z ziemi i pobiegłam wprost w jego ramiona. Przytulił mnie mocno i długo trzymał w uścisku.

Dźwięk mojego imienia – ten, który usłyszałam tamtego właśnie dnia – pozostał mi w głowie do dziś. Nigdy wcześniej się nie zgubiłam, nie wiedziałam, że mogę jeszcze zostać odnaleziona. Tego popołudnia przeżyłam swój pierwszy koniec – i to nie jako Marianka, ale jako chłopiec, otoczona obcymi kobietami, które próbując mnie pocieszać, nieporadnie głaskały mnie po głowie, plecach, twarzy. Ten dotyk... było go za dużo. Ale nie potrafiłam nic powiedzieć. W głowie powtarzałam jedynie: „Mamo, tato”. Cała reszta była nieważna.

Głos i twarz taty, mocny uścisk, ulga i wzajemne zrozumienie się w lęku były natomiast wszystkim, czego w tamtym momencie potrzebowałam.

Mój tato znalazł mnie i przytulił – zaleknioną, we łzach, zasmarkaną i w samym dole od kostiumu. Stawił się. Wystarczyło, że był. Po prostu był.

Wątki

Piórka na taśmę

Kiedy mama i tata wybiegali na deski teatru, ja i Zosia zostawałyśmy w garderobie. Musiałyśmy zająć się sobą. Przymierzałyśmy więc kostiumy, przeszukiwałyśmy szuflady i sprawdzałyśmy kosmetyki. Obsmarowywałyśmy się wszystkim, jak leciało – bez poczucia winy, wstydu czy zażenowania.

Pewnego dnia w drzwiach zajętej przez nas garderoby stanęły dwie charakteryzatorki.

Zobaczyły dwie małe dziewczynki, siedzące beztrząsowo w pomieszczeniu, przez które przeszło tornado. Zobaczyły rudawą, prawie łysą trzylatkę: przejętą miniaturę niedawno szykowanej aktorki, i dziwnie wysoką jak na swój wiek czteroletnią blond piękność.

Perspektywa moja i siostry była nieco inna – my zobaczyłyśmy po prostu dwie panie, które przed chwilą malowały rodziców.

– Dziewczynki, umalujemy was, chcecie? Może usiądziecie na krzesłach? – zapytały.

Moja siostra usiadła od razu. Ja przyglądałam się charakteryzatorce z nieufnością i chropowatym, grubym głosem zaproponowałam:

– Ja chcę długie włosy.

Odkąd sięgam pamięcią, marzyłam o długim warkocz. To pragnienie stało się jeszcze mocniejsze, kiedy zorientowałam się, że nie każda trzylatka nosi na głowie skąpy puch. Mój był dodatkowo bladorudy, więc prawie niewidoczny. Ilość włosów na mojej głowie była tak nikła, że przegrywała nawet z włoskami na przedramieniu mojej mamy. Chciałam mieć warkocz jak u księżniczki i byłam zdeterminowana do wykorzystania każdej okazji, by to osiągnąć.

– Dobrze, zrobimy długie włosy – powiedziała charakteryzatorka.

Usiadłam więc w fotelu i czekałam na wielką przemianę. Metamorfoza mojej siostry przebiegała błyskawicznie: warkoczyki, błyszczczyk, róż, kolorowe spineczki. Ja i moja charakteryzatorka tkwiłyśmy w punkcie wyjścia. Biedna kobieta stała nade mną i wciąż zastanawiała się, jak do praktycznie лыsej głowy przypiąć pasemka, spinki, koraliki czy doczepy. A ja po prostu siedziałam i czekałam. I pewnie udałoby mi się zachować dobrą minę do złej gry, gdyby nie mój podbródek, który zaczął się trząść. Małe charakterystyczne drżenia ujawniły prawdę: czułam, że nie jestem taka, jaka być powinnam. Do oczu napłynęły mi łzy. Zaczęłam płakać.

Wyobrażam sobie, że wyjące za kulisami dziecko jest niebezpieczne dla trwającej sztuki, dlatego zajmująca się mną charakteryzatorka zadziałała szybko:

– Nie płacz kochanie, już wymyśliłam fryzurę dla ciebie – powiedziała i zaczęła mi przyklejać do głowy spinki, piórka i ozdoby. Wszystko na taśmę klejącą.

Teraz płakałam już z dwóch powodów: nie było księżniczki i nie było warkocza, a to, co było przyklepione na klej, wyrываło mi boleśnie rudy meszek.

Kiedy mama po spektaklu weszła do garderoby, zobaczyła swoje córki siedzące na wielkich fotelach przed lustrem. Obydwie były umalowane i w całkiem nowych fryzurach. Zosia była szczęśliwa i zadowolona, a ja czerwona od płaczu. Mama podeszła do mnie i pomogła mi usunąć taśmę z głowy. Ona odlepiała, a ja dalej płakałam. Z bólu i wstydu. Chciałam tylko być piękna...

Rajstopy

Incydent w garderobie teatralnej nie zniszczył mojego marzenia o długich lśniących włosach. Wiedziałam już, że taśma klejąca się nie sprawdza, więc szukałam innych rozwiązań. W oko wpadła mi straganowa opaska ze złotymi lokami. Miałam do wyboru dwie jej wersje: z doszytą kraciastą chusteczką albo bez. Wybrałam z chusteczką, bo wydawało mi się, że będzie wyglądało, jakbym miała jeszcze więcej włosów. Opaska miała swoje plusy i minusy. Na pewno nadawała się na słoneczne dni, ale nie była zbyt satysfakcjonująca. Przód zostawał z rudym meszkiem, a efekt księżniczki zaczynał się dopiero od połowy głowy.

Drugą wykreowaną przeze mnie możliwością posiadania włosów bez włosów były bawełniane rajstopy. Jeśli chodzi o długość – w rajstopach ściemy nie było. Mogłam z nich zrobić wysokiego kucyka lub plecionkę przypominającą warkocz. Mogłam zrobić dwa kucyki albo puścić nogawki luźno i mówić wtedy o włosach rozpuszczonych. Zawsze, wychodząc z domu, swój *image* dopełniałam wybraną formą rajstopowej peruki. Latem z powodu gorąca rajstopy sprawdzały się gorzej, natomiast zimą były bezkonkurencyjne.

W rajstopach albo opasce chodziłam właściwie wszędzie: do sklepu, do przedszkola, do babci, do kawiarni, na spacer i place zabaw. Reakcje, jakie wzbudzałam na ulicy, pamiętam jako skrajnie różne. Niektórzy patrzyli na mnie z pewną dozą miłości i rozczulenia, ale byli i tacy, którzy śmiali się ze mnie zupełnie wprost. Ja jednak trwałam przy swoim. Byłam tak mocno wsłuchana we własne pragnienie posiadania długich włosów, że próba wytrącenia mnie z dążenia do celu była po prostu daremna.

Byłam swoją przyjaciółką.

Byłam swoją fanką.

ZANIM ŚWIAT POWIE
NAM, CO JEST DOBRE,
A CO ZŁE, CO NALEŻY,
A CO WYPADA, CO
POWINNYŚMY, A CZEGO
NIE – JESTEŚMY SOBĄ:
CZYSTYMI ISTOTAMI.

I tak wierna sobie nie wstydziłam się. Bo zanim świat powie nam, co jest dobre, a co złe, co należy, a co wypada, co powinniśmy, a czego nie – jesteśmy sobą: czystymi istotami nieskalanymi manipulacją i kalkulacją, działającymi zgodnie z wewnętrznymi zgodami i przyzwoleniami. W takiej przejrzystości swojego „ja” mamy szansę stawać się prawdziwe, wolne i piękne. Bywa jednak inaczej, bo zgoda na wolność i prawdę oczywista nie jest. Chowamy więc swoje potencjały, emocje, apetyty, granice i potrzeby. Żyjemy na miarę, w odgórnie

przydzielonej klatce. Niezapoznane ze sobą gonimy za tym, co podpowie społeczeństwo. A ono mówi: „Biegnij za idealnym ciałem”.

To wyścig, który nie pyta o zgodę. Jesteśmy w niego wepchnięte z automatu. A ponieważ bierzemy w nim udział masowo, rzadko która rezygnuje.

Jest więc to ciało. Ciało, które widzimy jako produkt: dodaj, odejmij, popraw, odchudź, wyszlifuj, wymień. Tak więc dodajemy i odejmujemy, poprawiamy i odchudzamy, szlifujemy i wymieniamy. Potem stajemy przed lustrem z tym samym nienawistnym spojrzeniem — bo tu nigdy o ciało nie chodzi, tu od zawsze chodzi o spojrzenie na siebie w całości. Dopiero gdy popatrzymy na siebie jak na pełny obraz, zobaczymy, że nic w nim nie jest przypadkowe. Opuchnięte nogi... Co one dźwigają? Oponka na brzuchu... Przed czym ma ochronić? Tu wszystko ma sens i prowadzi pamięcią do spraw, miejsc, ludzi, o których — być może — myśleliśmy, że już zapomnieliśmy. Nasze ciała mówią. Każdego dnia. Słuchamy ich?

Taniec na rurze

Miałam pięć lat, kiedy po raz pierwszy obejrzałam teledysk Destiny's Child. Moją uwagę przykuły ciała gwiazd i układ taneczny filmiku. Na ekranie widziałam kobiety piękne, wyraźne, seksowne, silne i wolne.

Zaczęłam więc tańczyć. Na początek w salonie naszego domu. Każdy taki występ wyglądał podobnie: wkładałam błyszczące sukienki, rajstopy na głowę i w zależności od humoru mamy jej szpilki. Do ręki brałam pilota i stawiałam na środku dużego pokoju. Każdy tworzony przeze mnie układ zaczynał się tak samo: wypchnięte biodro, podniesiona w górę ręka i ustawienie tyłem do nieistniejącej publiczności. W takiej pozie czekałam na pierwsze dźwięki muzyki, a potem zamaszystym ruchem odwracałam się do swoich fanów (czyli kanapy) i tak przechodziłam do części właściwej występu.

Pamiętam, że kiedy ja miałam swoje artystyczne salonowe momenty, w domu nie zmieniał się kompletnie nic. Mama dalej rozwieszała pranie, tata sprawdzał coś w dokumentach, moja siostra, przechodząc z pokoju do pokoju, przewracała oczami i myślała: „A ta znowu występuje przed ścianą...”.

Któregoś razu mama znalazła mnie w łazience, kiedy eksperymentowałam z tańcem przy rurze. Chyba każdy wie, jak wygląda rura od kaloryfera w łazience, prawda? To zdecydowanie nie styl pole dance. Rura od kaloryfera w łazience jest w jej ciasnym rogu, przy samej ścianie. I ja przy tej ścianie właśnie próbowałam tworzyć swój nowy układ taneczny.

Gdy wykonywałam kolejny obrót, do łazienki weszła mama.

– Kochanie, co robisz? – zapytała.

– Tańczę, mamó – odpowiedziałam.

Mama uśmiechnęła się pod nosem i wyszła. Była rodzicem pięciolatki, która eksperymentowała z pole dance.

Ślub

Urodziłam się w listopadzie, więc do przedszkola miałam zacząć chodzić dopiero od września następnego roku. Moja siostra – zodiakalna Panna, pilna i dokładna, prawa ręka wszystkich nauczycieli – ubłagała jednak dyrektorkę, bym dołączyła do grupy. Tak też się stało: do przedszkola załapałam się szybciej. Byłam mała, ruda, a na policzkach często zaczerwieniona.

Pamiętam moment, kiedy pierwszy raz stanęłam w drzwiach świetlicy. Zobaczyłam krzyczących rówieśników, Zosię i jakiegoś chłopaka, który od razu zaczął iść w moją stronę.

– Cześć, jestem Adaś – powiedział, podając mi rękę.

– Cześć, jestem Marianka – odpowiedziałam.

Tam, w tamtym miejscu – wśród wrzasków i płaczu, znalazłam przyjaciela. Z Adasiem byliśmy nierozłączni: zawsze dobrani w parę, ścigaliśmy się, kroiliśmy dżdżownice, bawiliśmy się w piaskownicy, spacerowaliśmy.

Adaś nie przypominał mi żadnego wcześniej spotkanego chłopaka. Był bardzo śmieszny, uważny, słuchający i troskliwy. Nasza przyjaźń szybko przerodziła się w coś zdecydowanie większego i chociaż nie było w tym niczego poza trzymaniem się za ręce, wiedzieliśmy, że jesteśmy całością. Była między nami miłość. Dziecięca, ale prawdziwa. Taka miłość serca, z której nikt i nigdy nie odważył się śmiać. Adasiowi nie przeszkadzały moje krótkie rude włosy, moje złotolokie opaski i rajstopy na głowie ani mój chropowaty głos. Uwielbiał, kiedy przed nim występowałam.

Czasami robił mi niespodzianki, przychodząc w sobotnie południe, żeby zabrać mnie na roladę do cukierni. Dzwonił domofonem, przedstawiał się i nieskrępowany pytał: „Czy można Mariankę?”. Za dziesiątkę w papierku kupował mi wybrane ciastko w pobliskiej kawiarni. Byłam przy nim krótkowłosą księżniczką. A skoro czułam, że z nim mam już wszystko, któregoś dnia zdecydowaliśmy się na ślub.

O pomoc poprosiliśmy więc moją siostrę i jej koleżankę Edytę. Spotkaliśmy się wszyscy w ogrodzie na naszym osiedlu i przygotowaliśmy się do ceremonii. Ubrana w jasną sukienkę stanęłam naprzeciwko Adasia, który w rękę trzymał jedną czerwoną różę.

Naszym księdzem była Edyta, której stułę zastąpiliśmy papierem toaletowym. Nasze obrączki były jednorazowe

i ekologiczne, bo z konieczności. Zosia zajęła się uwiecznianiem ceremonii. Udało jej się zrobić całe jedno zdjęcie.

Był taki czas, kiedy miłość miała swoje miejsce i moment. Bez wyścigu, bez presji i bez donośnych krzyków społeczeństwa: „Trzeba kogoś mieć!”, „Biegnij za kimś do pary!”.

Ile kobiet dziś czuje na swoim karku nerwowy oddech uciekającego czasu?

„Marianka, nienawidzę spotkań z moją rodziną. Ciągłe pytania, kiedy sobie kogoś znajdę”. Takich i podobnych wiadomości dostaję dziesiątki. Ów „ktoś” jest w domyśle kimkolwiek, byleby był. Tak, to lepiej wygląda: przy świątecznym stole i na fotografiach. Ile kobiet wchodzi w relację z intencją: „Nie chcę / nie mogę być samotna”. Jaki to start? Złapać kogoś ze strachu. To jawna manipulacja miłością, którą społeczeństwo określi jako sukces! Bo życie, takie, które możemy nazwać tradycyjnie ułożonym, w naszych oczach z miejsca jest sukcesem. Nikt wtedy nie pyta, czy jesteś szczęśliwa. To nie jest istotne. Ważne, że KOGOŚ już przecież MASZ.

Miłość nie przytrafia się z łapanek. Nie przytrafia się z poczucia winy ani deficytu bliskości. Może już najwyższy czas powiedzieć głośno prawdę: „Znajdę, gdy będę gotowa wybrać tego/tę, który/która jest dla mnie”. Bliskość to nie targowisko, przestańmy więc kupczyć sobą w miłości.

Żaba

W przedszkolu z okazji pierwszego dnia wiosny postanowiono przygotować przedstawienie. Zostałam obsadzona w nietypowej roli – miałam być żabą. Jak zapewniano, dostałam postać

znaczącą dla całej sztuki. Miałam sporo tekstu, dwa wierszyki i końcowy monolog, który był niejako zwieńczeniem całego teatryku.

Nie będę ukrywać, że czułam się mocno wyróżniona, kiedy dowiedziałam się, że jako jedyna mam wypożyczony kostium. Przymiarki mojego stroju odbywały się podczas zajęć na oczach całej grupy. W jasnozielony strój wciskałam się z wątpliwą gracją i bezdyskusyjną dumą. Wisienką na torcie była zielona czapka z oczami. Rozumiałam, że to niezwykle istotny element granej przeze mnie postaci – żaba musi być wyraźnie zaznaczona. To mi się podobało!

Ponieważ uwielbiałam występować, próby były dla mnie fantastycznym czasem. Przygotowana przez wychowawców scenografia zagrody była całkiem realistyczna. Jasnobłękitna kurtyna z przyczepioną na pinezki szopą, a obok wysoki świecznik z prawdziwymi świeczkami, których żarzące się knoty miały przypominać o wartości ogniska domowego. Nasza pani dzieciątki razy zwracała nam uwagę, żebyśmy po występie wracali za kurtynę prawą, a nie lewą stroną:

– Przecież nikt z was nie chce strącić świecznika, prawda?

W dniu występu zaczęłam się mocno denerwować. Grałam główną rolę – moja żaba była najważniejsza! Adaś był osłem i miał tylko jedną scenkę. Czymże był więc jego jeden dialog w porównaniu z moimi sześcioma?!

Tuż przed wyjściem na scenę upewniłam się, że czapka z oczami żaby jest na miejscu, i wyszłam na środek. Pierwsze scenki poszły mi gładko, ale przy końcowym monologu stres ścisnął mi gardło. Z widowni swoim szerokim uśmiechem uspakajała mnie mama. Tekst mówiłam więc do niej, a kiedy dobiegłam do końca, ukloniłam się zamasyście. Wraz z ukłonem

spadła mi z głowy czapka z oczami żaby. Wyprostowałam się zawstydzona i usłyszałam śmiech innych rodziców. Spanikowana wzięłam czapkę z podłogi i szybko skierowałam się w stronę kulis. Z nerwów wybrałam jednak złą drogę i zahaczając nogą o kurtynę, odsłoniłam wszystkie zwierzęta schowane za dekoracją. Jakby tego było mało, materiałem zaczęłam też o świecznik, który zachwiał się, a następnie runął na ziemię i prowizoryczna zagroda zaczęła płonąć.

Panie wychowawczynie błyskawicznie zgasiły tłącą się dekorację i zgromadziły wszystkie dzieci-zwierzęta z dala ode

mnie. A kiedy sytuacja została opanowana, ja i wszyscy młodociani aktorzy dostaliśmy owacje na stojąco.

**SZCZĘŚCIEM JEST
POZOSTAĆ SOBĄ
POMIMO – A CZASEM
WBREW – OPINII
INNYCH, ODMIENNYCH
ZDAŃ I PUNKTÓW
WIDZENIA.**

Wspominając to zdarzenie, myślę o szczęściu. Takim, które potrafimy znaleźć i doświadczyć go nawet w niełatwych sytuacjach. Szczęściem jest pozostać sobą pomimo – a czasem wbrew – opinii innych, odmiennych zdań i punktów widzenia. Pamiętam ten świat. Taki, w którym dawałam sobie prawo, by po prostu być. To bycie jednego dnia

oznaczało śmiech, a drugiego łzy i to było najlepsze. Wyjątkowe, bo prawdziwe.

Po latach wraz z social mediami przywędrowała bezkompromisowa moda na szczęście i presja: „Biegnij za szczęściem!”. I tak przez lata uczymy się to szczęście potęgować, nawet kiedy w danym momencie jest nam najbardziej odległym uczuciem. Rozbudzamy je w sobie,

tak jak potrafimy: telefonem, szybkim seksem, alkoholem, hazardem, osiągnięciami. Odurzamy się i oślepiamy, bo dopóki odlot trwa, dopóty nie musimy patrzeć na to, co jest naprawdę. Tylko że pod tymi silnymi bodźcami jest zwykle ból. Tak, taki pospolity ból, który czuje każdy. To ból wszystkiego, co się nie udało, wszystkiego, co stracone, wszystkiego, co rani. Nie chcemy na to patrzeć, nie chcemy tego przyjmować do wiadomości, wypieramy to na wszystkie znane nam sposoby. Tkwi w tym paradoks: dopiero poznając i oswajając ten ból, możemy znaleźć szczęście. Nie to, które przychodzi na chwilę z narkotykowym zamroczeniem, alkoholowym upojeniem, emocjami w kasynie, przygodnym seksem, katorżniczym treningiem, ale to, które osadza się w sercu z wdzięcznością na stałe.

Dmuchana zjeżdżalnia

Na naszym osiedlu letni piknik z okazji Dnia Dziecka odbywał się co roku. Tego lata poszłam na niego z mamą. Byłam chyba jednym z młodszych dzieci, które chciały wejść na dmuchaną zjeżdżalnię. Spojrzałam pytająco na mamę, a ona pokiwała głową i podprowadziła mnie do kolejki. Nie mogłam jednak wejść. Według przepisów byłam za młoda i za niska. Pani, która wpuszczała dzieci na atrakcję, odsunęła mnie, tłumacząc, że dla takich maluszków są inne zabawy.

Popędziłam z płaczem do mamy. Wróciliśmy razem pod zjeżdżalnię. Mama poprosiła, żebym mimo wszystko została wpuszczona.

– Niech pani spojrzy, jaka to jest wysoka zjeżdżalnia. Tu są starsze dzieci, które się boją wspinać po drabinkach, a co dopiero taki maluch – tłumaczyła kobieta pracująca w obsłudze pikniku.

Mama kucnęła przy mnie i zapytała:

- Marianna, chcesz iść na taką wysoką zjeżdżalnię?
- Tak, mam – odpowiedziałam zdecydowanie.

Pracownica wpuściła mnie, ale powiedziała, że wchodzę na odpowiedzialność mamy. Ponieważ cała kłótnia zatrzymała kolejkę, pod zjeżdżalnią zrobił się tłok. Teraz wszyscy rodzice czekający na swoje dzieci patrzyli na mnie. Wspięłam się więc po drabinkach i usiadłam na skraju zjeżdżalni. Już miałam zjeżdżać, kiedy obok siebie zobaczyłam płaczącą dziewczynkę. Była większa i starsza ode mnie i... bała się zjechać. Wzięłam ją za rękę i zjechałyśmy razem.

Może więc nie chodziło o wiek, tylko o gotowość?

Zwykle chodzi o gotowość.

Kobięce klatki

Wszystko, o czym do tej pory wspomniałam, jest opisem autentycznej, wolnej, dzikiej mnie. Słodkiej? Nie. Miłej? Nie. Bezbłędnej? Nie. PRAWDZIWEJ.

Pamiętam uczucia towarzyszące mi w każdej z tych sytuacji. Do dziś są dla mnie żywe. Widzę dziewczynkę, która nie ukrywała swoich emocji, nie chowała bólu, nie spijała cudzych pragnień. Nie uciekała przed wstydem i porażkami. Stawała się i dochodziła: do siebie i swojego wnętrza. Bez oceny i wyliczeń. Była z siebie dumna. Zanim świat wyznaczył POPRAWNOŚĆ.

Moja odwaga nie przychodziła z bohaterskiego czynu, ale z życia w zgodzie ze sobą. Nie z braku rozsądku, ale z zaufania do własnych opinii. Moje odkrywanie siebie było szersze i pełniejsze niż odgórnie przyjęte standardy i struktury:

odkrywałam gibkość swojego ciała, tańcząc przy łaźienkowej murze; doświadczałam ważności więzi, biorąc ślub z najlepszym przedszkolnym przyjacielem;

realizowałam swoje pragnienia, poszukując czegoś więcej niż piórek przyklejonych na taśmę.

Poznać siebie – to znaleźć wolność i prawdę. Kochać siebie – to na tę wolność i prawdę reagować. Po swojemu. Bez zgody na poddawanie się formom, w które wpycha nas otoczenie. Tam tracimy moc i siłę. Tracimy delikatność i ogień. Tracimy siebie, zupełnie tego nie zauważając. Gniemy się i łamiemy, oddając nieświadomie, bez walki, to, co w nas najpiękniejsze, by dalej takie właśnie zniewolenie nazywać życiem. To ciasnota, w której umieramy.

Znasz to? Znasz zasady, których trzeba tam przestrzegać?

Podstawowa to: „Dostosuj się”.

Przyswajamy sobie wszystkie stworzone naprędce, ulepione ze strzępków i zasłyszane prawdy na swój temat – ze strachu, bo jeśli podałybyśmy w wątpliwość choć jedną z nich, mogłoby runąć wszystko. Taka wizja jest przerażająca. Wizja rozpoczęcia od zera jest gorsza niż powolne duszenie się. Marzenia o wolności, prawdzie, odwadze i sile chowamy głęboko w sercu. Potem ten głęboko skrywany skarb przekazujemy swoim dzieciom, pokazując im jednocześnie wypracowane metody na przetrwanie w zamknięciu. Modlimy się o lepsze życie dla naszych córek, wprowadzając je jednocześnie w życie, w którym ich pragnienia, własne zdanie i samostanowienie się nie liczą.

I tak raz nałożone chomąto przechodzi z pokolenia na pokolenie,
aż w końcu któraś powie: „DOŚĆ!”.

Nie tak miało wyglądać moje życie!

Te wybory nigdy nie były moje!

To nie jest moja prawda!

Moja droga powrotu do siebie prawdziwej była wieloetapowa
i skomplikowana. Na wiele lat pozwoliłam zamknąć się
w formach i klatkach, odwróciłam się do siebie plecami, nie
słuchałam siebie. Dopiero taka pogubiona mogłam znaleźć
drogę powrotną – ścieżkę ku wolności i odwadze. I nie mogło
być inaczej.

Sylwester marzeń

To była noc sylwestrowa. Razem z mamą i Zosią pojechaliśmy
do centrum Warszawy oglądać fajerwerki i słuchać występów
muzycznych. Ulice były pełne ludzi, z których większość była
podpita. Kiedy przechadzałyśmy się wąskimi uliczkami w okoli-
cach Nowego Świata, zaczęły nas cztery młode osoby: trzech
chłopaków i jedna dziewczyna.

Rozbawieni zaczęli zagadywać do mamy:

- Niemożliwe, że takie dzieciaki to pani.
- No, moje, zgadza się – odpowiedziała mama.

Jeden z chłopaków wskazał na mnie palcem:

- Jaki piękny chłopiec!
- Jestem dziewczyną – zaprotestowałam.

Zosia i mama zaczęły się śmiać. Podobnie zresztą grupa
młodych ludzi. Dziewczyna próbowała upojeniem alkoholowym
wytłumaczyć pomyłkę kolegów.

Moja siostra nigdy nie wyglądała na swój wiek. Była między nami różnica tylko roku, jednak wszyscy uważali, że jest o cztery lub pięć lat starsza ode mnie. Tak więc kiedy moja mama i siostra konwersowały z podpita grupką, ja stałam z boku. Nie dość, że uważali mnie za chłopaka, to jeszcze ignorowali podczas rozmowy. Byłam za niska i za młoda, żeby stać się częścią towarzystwa. Kiedy mama i siostra wróciły do mnie, zapytały, dlaczego nie podeszłam bliżej, dlaczego nie przyłączyłam się do rozmowy.

– Dlaczego oni mnie nazwali chłopakiem?! Przecież nawet nie wyglądam jak chłopak. Przykro mi.

– Kochanie, nie może ci być przykro, ci młodzi ludzie byli pijani. Słyszałaś, jak bełkotali?

Grzecznej dziewczynce nie może być przykro. Ona powinna racjonalizować wszystkie zachowania otoczenia, wskazując palcem na siebie – bo to ona czegoś nie rozumiała. Nie rozumiała, że państwo byli pijani. Nie rozumiała, że nazwanie jej chłopcem to nie powód do smutku, przykrości, żalu i złości. Tak właściwie to sama sobie jest winna. To ona nie podążyła za konwencją luźnej rozmowy. Powinna była zareagować dokładnie tak, jak zareagowała reszta: uśmiechnąć się i wrócić do rozmowy. Grzeczna dziewczynka zdanie: „Jaki piękny chłopiec”, powinna potraktować jako komplement, bo nawet jeśli chłopcem nie jest, to jednak ktoś nazwał ją piękną.

Uczucie smutku psuje atmosferę, a przecież wszyscy chcemy się dobrze bawić. Po co marnować czas na szare emocje. Po co psuć coś, co działa? A przecież ta przypadkowa rozmowa z paczką młodych ludzi w noc sylwestrową działała. Była przyjemna. Była miła. Grzeczna dziewczynka powinna

dopasować swoją barwę do otoczenia. Kiedy inni są pogodnie różowi, ona nie może być smutna i zielonkawa – tak grzeczna dziewczynka nie postępuje.

Wnuczka swojej babci

Odkąd skończyłam cztery lata, co roku ja i Zosia jeździliśmy z babcią na wakacje. Zawsze w stałym składzie i zawsze w to samo miejsce: do Nowego Targu.

Te wspólne wyjazdy były jednocześnie moimi najbardziej i najmniej lubianymi momentami lata. Myśląc o nich dziś, mam przed oczami jagody z cukrem, kompoty, plac zabaw, wspólne ogniska, biegające wolno psy podwórkowe, właścicielkę pensjonatu, która stała się naszą ciocią. Widzę prażące słońce, zieloną trawę i słynne pyszne lody kupowane na rynku.

Czego więc nie lubiłam? Codziennego kilkugodzinnego zbierania jagód, smaku przegotowanej wody do picia i upałów, przed którymi babcia chroniła nas, nacierając twarze gęstym SPF50 szorstką dłonią.

Moja babcia – była śpiewaczka operowa – na każdym wyjeździe uczyła nas nowej piosenki ze swojego repertuaru, którą potem miałyśmy pochwalić się przed innymi wczasowiczami. Idealną ku temu okazją były wspólne ogniska.

Któregoś roku podczas jednego z takich ognisk zostałam poproszona o zaśpiewanie *Piękne panie i panowie* Renaty Bogdańskiej.

– Maniusiu, wyjdź i zaśpiewaj to, czego cię uczyłam – poprosiła babcia.

– Babciu, proszę, nie...

– Marianko! – nalegała babcia, patrząc na mnie w bardzo charakterystyczny sposób.

W sposób, który jednocześnie uspokajał i groził – uspokajał czekających na występ wczasowiczów, grożąc mi sankcjami do końca pobytu na wspólnym wyjeździe.

– Babciu, ale ja nie chcę – powiedziałam wyraźnie.

Biesiadujący goście zaczęli ratować sytuację, tłumacząc, że na pewno jestem zestresowana, że może następnym razem, że nie ma sprawy, że to nic takiego. Babcia śmiała się razem z innymi, ale ja widziałam, że ten śmiech przykrywa nie smutek, nie złość, ale zawód i rozczarowanie.

Moje „nie” miało więc swoje konsekwencje. Przez kolejne dni wakacji moja obecność i pytania odbijały się od ściany milczenia. Pozostawiona bez odpowiedzi, zalana poczuciem winy, pukałam do obrażonego serca babci. Kara ciszy trwała dwa dni. Na pożegnalnym ognisku wyszłam więc na środek i zaśpiewałam. Nie zniosłabym tej ciszy w drodze powrotnej do domu...

*Piękne panie i panowie
Posłuchajcie, co wam powiem
Bierzcie kwiaty z mojej ręki
Piękne panie i panienki
Mam tu dla was koszyk róż*

*Każda róża jest zakłęta
Każe kochać i pamiętać
Róża powie ci najprościej,
O kochaniu, o miłości
Której dawno nie ma już¹*

Drzewko bonsai

Moi rodzice rozstali się, gdy ja i moja siostra byłyśmy jeszcze w podstawówce. Po rozwodzie tato znalazł nową partnerkę i zlegalizował związek. Mama przez lata pozostawała w drodze. Równowagi szukała związkami i coraz to nowymi, lepszymi metodami pracy nad sobą. Tato nie szukał wcale – wydawało się, że on jedynie znajdował. Znajdował szybko i konkretnie: nowy związek, nowe zasady, nowy dom i – jak wydawało się wtedy, gdy byłyśmy małe – zupełnie nową rodzinę.

Drugie małżeństwo mojego taty nie przetrwało. Historia się powtórzyła, zostawiając go samego w studwudziestometrowym mieszkaniu w kamienicy na Mokotowie. Ja byłam w ciąży, a tato przechodził przez separację. Przeżywał własny rodzaj żałoby, a potem pojawiło się w nim coś nowego: nadzieja, że w tym, co trudne, jego historia się domknieła.

Ponieważ nadzieja nie karmi się okruchami, tato zaczął witać się z pragnieniami duszonymi od lat. W tym czasie na świecie pojawił się Ignas i gdzieś pomiędzy karmieniami, pracą, pamperssem a spotkaniami zdarzało nam się rozmawiać przez telefon.

Pewnego wieczoru tato opowiedział mi historię, która przyniosła mi spokój.



– Kiedy rozstałem się z waszą mamą, kupiłem sobie drzewko bonsai. To był dla mnie symbol mojego życia. Roślina chodziła ze mną od mieszkania do mieszkania, a potem, kiedy poznałem Ewę (drugą żonę), już na stałe stanęła na parapecie w salonie. Ewa miała naprawdę dobrą rękę do kwiatów, pamiętasz?

– Tak

– Ale kiedy zaczęło się między nami psuć, bonsai zaczęło usychać. Przyglądałem się codziennie spadającym żółtym listkom, których nijak nie mogłem powstrzymać. Im bardziej Ewa się nad tym drzewkiem pochylała, im bardziej próbowała je ratować, tym bardziej marniało. Któregoś dnia powiedziała, że powinniśmy te badyle wyrzucić, ale nie chciałem tego zrobić, bo to przecież tak, jakbym wyrzucał własne życie. To drzewko przeżyło ze mną prawie osiemnaście lat. Nie mogłbym. Nie pozbyłem się go. Wraz z naszym rozstaniem ono uschło. I wiesz, pomyślałem sobie wtedy, że to drzewko jest świadectwem mojego bólu. W takim bólu duszy nic nie dzieje się raptownie, tylko stopniowo. Ewa się wyprowadziła, a drzewko zostało łyse, z suchymi gałązkami. Wziąłem kiedyś nożyczki i uciąłem je przy ziemi i podlałem. Podlewałem i doglądałem je codziennie, aż pewnego dnia po mniej więcej miesiącu zobaczyłem trzy małe zielone listki. Drzewko odżyło. Odżyłem i ja.

Uciąć aż do korzenia i pozwolić się odbudować.

Nie podlewać tego, co umiera, ale pozwolić umrzeć i się odrodzić.

To największa lekcja dla każdego z nas.